

Mieczysław Jałowiecki swoją biografią mógłby obdzielić kilka, jeśli nie kilkanaście osób. To gotowy scenariusz sensacyjnego filmu.



Mimo ogromnych zasług, o Mieczysławie Jałowieckim niemal zapomniano. Pamięć o swoim niezwykłym pradziadku próbuje wskrzesić Andrzej Jałowiecki, mieszkający w Perth spadkobierca kufra pełnego dokumentów, zdjęć i pamiątek. W tym tych z Westerplatte.

Mieczysław Jałowiecki to postać niezwykle ważna dla Polski i jedna z najważniejszych w historii Gdańska. Ziemianin, arystokrata, agronom i dyplomata. W latach 1919-1920 delegat rządu polskiego w Wolnym Mieście. Ale ponad wszystko człowiek, któremu Polska zawdzięcza Westerplatte...

Swoją biografią mógłby obdzielić kilka, jeśli nie kilkanaście osób. Jego życie to temat nie tylko na reportaż. To gotowy scenariusz sensacyjnego filmu... Mimo ogromnych zasług, o Mieczysławie Jałowieckim niemal zapomniano. Pamięć o swoim niezwykłym pradziadku próbuje wskrzesić Andrzej Jałowiecki, mieszkający w Perth spadkobierca kufra pełnego dokumentów, zdjęć i pamiątek. W tym tych z Westerplatte.

Mieczysław Jałowiecki przyszedł na świat 2 grudnia 1876 roku w majątku rodzinnym Syłgudyszki na Litwie. Jego prawnuk Andrzej dokładnie sto później, w roku 1976. Słynnego przodka zna więc tylko z opowieści swojego ojca, Michała. To właśnie dzięki niemu Mieczysław Jałowiecki nie został całkowicie zapomniany. Ojciec Andrzeja doprowadził do publikacji w wydawnictwie „Czytelnik” trzech tomów wspomnień swojego wyjątkowego przodka. Andrzej od wielu lat stara się zapewnić Mieczysławowi należne mu miejsce w historii Polski.

- „Na skraju imperium”, „Wolne Miasto” i „Requiem dla ziemiaństwa” - Andrzej otwiera sfatygowany podróżami kufer, wyjmując z niego książki, kładzie na stół, obok rodzinnych skarbów i maszynopisów, przygotowywanych do druku pamiętników pradziadka. - Przed tymi trzema bestsellerami wydawnictwo Marpress opublikowało jeszcze „Wspomnienia, raporty i sprawozdania z Gdańska (1919-1920)”. Wszystkie są świetne, każda z osobna powinna być lekturą szkolną - mówi prawnuk dyplomaty.

Mission impossible

W „Na skraju imperium” Mieczysław Jałowiecki pisał: „Nasza rodzina należała do Rurykowiczów, a to w Rosji znaczyło bardzo dużo. Czuliśmy się jednak Polakami, a to w Rosji bardzo przeszkadzało”.

Jego babcia pochodziła ze szkockiego klanu McDonaldów. Był blisko spokrewniony z Gabrielem Narutowiczem i Melchiorem Wańkowiczem. Jego ciotecznym bratem był Witkacy, zaś wujem Józef Piłsudski. Ojciec Mieczysława - Bolesław, prócz prowadzenia swoich majątków ziemskich, zajmował się biznesem i polityką - był carskim wojskowym w stopniu generała majora, a nawet posłem do rosyjskiej Dumy. Był także inżynierem komunikacji i budowniczym kolei - współcześni nazywali go „królem kolei wąskotorowych”.

Mieczysław Jałowiecki, dzięki znakomitemu wykształceniu, karierę zrobił wręcz błyskawicznie. Gdyby żył w obecnych czasach, jego CV wyglądałoby imponująco: attaché do spraw rolnictwa w ambasadzie Rosji w Berlinie, radca Ministerstwa Rolnictwa w Moskwie, dyrektor kilku towarzystw akcyjnych, marszałek szlachty powiatu święciańskiego, członek Wileńskiego Banku Ziemskiego... I byłyby to tylko te najważniejsze stanowiska. Prócz wiedzy fachowej i rozlicznych koneksji, Jałowiecki mógłby się też pochwalić biegłą znajomością sześciu języków obcych - co zresztą skrzętnie wykorzystywał w późniejszej pracy w dyplomacji. Po rewolucji bolszewickiej, upadku caratu i konfiskacie rodzinnego majątku, Jałowiecki przyjechał do Polski. Pod koniec 1918 roku dotarł do Warszawy.

- Stojąc na czele delegacji litewskich ziemian, chciał uzyskać wojskowe wsparcie dla Wilna, jednak sytuacja na Litwie błyskawicznie się pogorszyła i miasto ostatecznie padło - opowiada jego prawnuk. - W takich okolicznościach Mieczysław zdecydował się pozostać w Polsce. Wkrótce premier Ignacy Paderewski mianował go pierwszym delegatem rządu w Gdańsku. Pradziadek miał współpracować z Amerykańską Misją Żywnościową, którą właśnie organizował republikanin Herbert Hoover, późniejszy 35. prezydent USA... Teraz to brzmi efektownie, ale wtedy była to misja niemal samobójcza.

Przed podróżą do Gdańska minister aprowizacji Antoni Minkiewicz przestrzegł Jałowieckiego: „Będę szczery, pańska misja jest karkołomna (...), na tej placówce może pan sobie łatwo kark skręcić. Złudzeń nie pozostawił mu również Józef Piłsudski: „Nie dogodzisz nam - czeka cię kula w łeb. Nie dogodzisz Niemcom, dostaniesz od nich kulę, staraj się, aby ciebie jedno i drugie ominęło. To są moje instrukcje”.

Fahren, schneller, los...

[18 stycznia](#) 1919 roku rozpoczyna się konferencja pokojowa w Paryżu. Tydzień wcześniej minister Minkiewicz mianuje Jałowieckiego delegatem Ministerstwa Apropowizacji w Gdańsku. 28 stycznia premier Paderewski rozszerza mu zakres

obowiązków - od tej chwili Jałowiecki jest oficjalnym delegatem rządu Rzeczypospolitej w randze ministra pełnomocnego. Ze względu na niepewną sytuację geopolityczną, nominacja ma charakter tajny.

- W Polsce panował wówczas głód - Andrzej, wyjmując ze swojego kufra kolejne dokumenty. - Aby go choć trochę zniwelować, polski rząd zawarł ze Stanami Zjednoczonymi umowę na dostawy żywności. Transporty szły drogą morską do portu w Gdańsku. Dalej przewożono je głównie koleją, część płynęła w głąb kraju Wisłą. Niemcy od początku starali się torpedować tę akcję. Szło im to dość sprawnie, gdyż Polska jako państwo dopiero się odradzała. Jej przedstawiciele, do czasu zakończenia konferencji pokojowej, nie mogli nie tylko podpisać umowy o zawieszeniu broni, lecz także posiadać ekspozytury w Gdańsku. Dlatego Generalna Delegacja Ministerstwa Apropowizacji zmuszona była działać pod przykrywką Amerykańskiej Misji Żywnościowej. 30 stycznia 1919 roku Jałowiecki przybywa do Gdańska. Szybko zauważa, że miasto sterroryzowane jest przez niemieckie bojówki. Przed hotelem Danziger Hof, gdzie zamieszkał wraz z pozostałymi delegatami, niemal codziennie odbywają się demonstracje nacjonalistów. Jego gdańscy partnerzy - przedstawiciele Rady Ludowej - dr Wybicki, dr Kierski i dr Kręcki, aby uniknąć aresztowania, nocują poza domem. Mimo to Jałowiecki błyskawicznie porozumiewa się z Niemcami. W zamian za obietnicę podzielenia się amerykańską pomocą, burmistrz Heinrich Sahm łagodzi antypolskie nastroje gdańszczan.

Jałowiecki jednak Niemcom nie dowierza. W połowie marca osobiście rusza do Warszawy z pierwszym transportem humanitarnym. Tamtą podróż wspomina następująco:

„O godzinie 10 w nocy pociąg mój w składzie 40 wagonów ładowanych mąką wyruszył z wolnego portu. Usadawiłem się w brankardzie bagażowym razem z brygadą konduktorów i wojskową ochroną, którą w myśl umowy władze niemieckie powinny były nam dawać aż do granicy polskiej. Byłem niemało zdziwiony, kiedy na stacji Gdańsk Główny konwojenci opuścili pociąg, zostałem sam z kilku konduktorami (...). Po półgodzinnym postoju pociąg ruszył, zauważyłem, że w ostatniej chwili cała brygada konduktorska wyskoczyła z wagonu, zostałem sam (...). Wyskoczyłem z brankardu, dopędziłem ruszającą lokomotywę i wskoczyłem na stopnie. Pociąg wziął najszybszy bieg, pędziliśmy w stronę Malborka. Nie dojeżdżając do mostu na Nogacie maszynista gwałtownie zaczął hamować pociąg i zbierał się do wyskoczenia z lokomotywy, obaj palacze rzucili się do ucieczki i zniknęli w ciemnościach. Błyskawicznym ruchem wyciągnąłem „Browning” (rodzaj broni krótkiej - przyp. KMZ).

- Fahren - krzyknąłem.

Maszynista targnął regulator, pociąg wziął szybkość, trzymałem rewolwer gotowy do strzału.

- Schneller, los – zawołałem, pociąg pędził całą siłą pary. Nie dojeżdżając mostu na Nogacie straszliwy huk zagrzmiął w ciemnościach, huk ten wyraźnie słyszałem za pociągiem – byłem ocalony... Szybkość uprzedziła chwilę wybuchu.”

Po przekroczeniu granicy Prus Wschodnich Mieczysław Jałowiecki poinformował niemieckie władze o zamachu. Spisano protokół zniszczeń, na podstawie którego Niemcy wypłacili Amerykanom odszkodowanie. Później tego rodzaju incydenty już się nie powtarzały.

Kto ma Westerplatte, ten...

- Mój pradziadek nie zajmował się w Gdańsku jedynie logistyką - mówi Andrzej Jałowiecki. - Prócz odprawienia do Polski 50 tysięcy wagonów z żywnością i repatriowaniu prawie 10 tysięcy reemigrantów, nadzorował przetrzuty broni i sporządzał tajne raporty, dzięki którym polska delegacja na konferencji wersalskiej miała lepszą pozycję negocjacyjną. Działania wywiadowcze w zniemczonym Gdańsku były jak igranie ze śmiercią. Dlatego ani on, ani jego ludzie, nie rozstawali się z bronią... Ale mój pradziadek dokonał jeszcze jednej niesamowitej rzeczy, dokonał czegoś, co miało dla historii naszego państwa kapitalne wręcz znaczenie... Kupił dla Polski półwysp Westerplatte.

Mieczysław Jałowiecki lubi długie spacery nad morzem. Spaceruje sopocką plażą. Często zapuszcza się aż na cypel zwany Westerplatte, wówczas zabudowany zaledwie kilkoma willami i domem zdrowym otoczonym parkiem. Podczas jednej z takich wypraw uzmysławia sobie, że „*Kto ma Westerplatte, ten panuje nad wejściem do portu gdańskiego*”. W roku 1919 mieszkańcy Gdańska zaczynają wyprzedawać nieruchomości. Powodem jest niepewny los miasta. Wielu obawia się, że Gdańsk wpadnie w polskie ręce. Zakupami interesują się agenci brytyjscy i sowieccy. Jałowiecki podejrzewa, że wcześniej lub później ktoś dostrzeże strategiczne znaczenie Westerplatte. Jedzie do Warszawy, aby podzielić się tą refleksją z ministrem Minkiewiczem i premierem Paderewskim. Sugeruje zakup półwyspu przez polski rząd.

Politykom pomysł się podoba, oświadczają jednak Jałowieckiemu, że państwowa kasa jest pusta. Sugerują, żeby sam postarał się o fundusze. Obiecują, że Polska zwróci mu poniesione koszty, jak tylko zdobędzie status prawny w Gdańsku.

- Oznaczało to mniej więcej tyle, że pradziadek Mieczysław kupi Westerplatte za własne pieniądze - kiwa głową Andrzej Jałowiecki. - Niestety, takiej sumy on również nie posiadał. Musiał wystarać się o kredyt. I zrobił to. Pomógł mu w tym dyrektor Banku Spółek Zarobkowych w Poznaniu dr Józef Englich oraz ksiądz prałat Stanisław Adamski, który zarządzał Związkiem Spółek Zarobkowych i Gospodarczych. Jedynym zabezpieczeniem kredytu była klauzula, mówiąca, że gdyby polski rząd odmówił przejęcia zakupionych nieruchomości, przeszyłyby one na własność poznańskiego Banku Spółek Zarobkowych.

Właściciel Westerplatte, początkowo w ogóle nie chce słyszeć o sprzedaży półwyspu. Później mięknie, ale stawia warunek - nabywcą może być tylko Niemiec. Jałowiecki znajduje więc „słupa”. Jest nim Kaszuba, który za odpowiednią gratyfikację, godzi się nabyć Westerplatte na swoje nazwisko, a następnie odsprzeda cypel Jałowieckiemu. Podobne transakcje dyplomata powtarza wielokrotnie. W ten sposób wchodzi w posiadanie między innymi magazynów przy Dworcu Wiślanym, domów przy ujściu Wisły od strony dzisiejszej dzielnicy Nowy Port, terenów na Polskim Haku, gdzie znajdowała się niewielka stocznia oraz spichlerzy nad Motławą naprzeciwko Żurawia. Wkrótce, na polecenie ministra skarbu Władysława Grabskiego, państwo

polskie przekazuje Jałowieckiemu pieniądze za dokonane transakcje i tym samym staje się ich właścicielem.

Oficjalnie półwysp Westerplatte przyznany zostaje Polsce 14 marca 1924 roku. Rok później, 31 października obszar ten Liga Narodów przekazuje Rzeczypospolitej w bezterminowe i bezpłatne użytkowanie. 7 grudnia Polska otrzymuje jeszcze prawo do stacjonowania jednostki wojskowej. 18 stycznia 1926 r. punktualnie o godzinie 14. na trałowcu ORP Mewa na Westerplatte przypląwa pierwszy oddział służby wartowniczej. 1 września 1939 roku, w tym właśnie miejscu rozpocznie się najkrwawszy konflikt w historii świata.

Epitafium dla bohatera

Pod koniec 1920 r. Mieczysław Jałowiecki zakończył swoją misję w Wolnym Mieście. Z Gdańska przeprowadził się pod Kalisz, do majątku Kamień, który należał do jego drugiej żony. We wrześniu 1939 r. opuścił Polskę wywożąc swoje archiwa, w tym kufer, który odziedziczył po nim Andrzej. Uciekając przed Niemcami słuchał

komunikatów o walkach na Westerplatte... Nie wiedział jeszcze, że do Polski już nie wróci. Zmarł w 1962 r roku pod Londynem. Pozostało po nim ogromne archiwum, zdeponowane w Instytucie Hoovera w Kalifornii... I rękopisy znakomitych książek.

- Polska historia pełna jest dramatycznych meandrów: powstań, wojen, kataklizmów i wspaniałych zwycięstw. Z tych wydarzeń wyłaniają się często wielkie osobowości. Niestety, nie wszystkim dane jest trafić do masowej wyobraźni. Mieczysław Jałowiecki jest jednym z takich niesłusznie „zapomnianych bohaterów” - konkluduje Andrzej Jałowiecki. - Myślę, że mojemu pradziadkowi, za to co zrobił dla Gdańska, dla Polski, należy się pomnik, nadanie imienia jednej z reprezentacyjnych ulic lub któremuś z dworców kolejowych. Coś, co na zawsze wpisałoby jego nazwisko w historię naszego państwa.

Andrzej Jałowiecki zamyka swój kufer i dodaje:

- Chciałbym też doprowadzić do wydania jego kolejnych książek, bo to naprawdę świetny pisarz. Jego „Wolne Miasto” było ostatnią lekturą św. Jana Pawła II. Wanda Półtawska, przyjaciółka papieża, czytała mu ją na łożu śmierci. W swoich wspomnieniach napisała, że Ojciec Święty „chciał tego słuchać i czytałam mu to dosłownie do końca życia. Nie zdołałam skończyć, ale zabrakło tylko jednej strony.”

Jako naród, potrafimy doskonale celebrować swoje klęski. Uwielbiamy martyrologię i nurzanie się we własnej krwi. Często nie dostrzegamy natomiast tego, co w naszej historii chwalebne, co powinno napawać młode pokolenie dumą. Dlatego trzeba przypominać takie postaci, jak Mieczysław Jałowiecki. Bez niego nie mielibyśmy nie tylko Westerplatte. Bez takich, jak on, byłibyśmy po prostu o wiele ubożsi.

Źródło: Dziennik Bałtycki



Autor: Krzysztof Maria Załuski